Ludzie na liściach

Byli ludzie, którzy mieszkali na liściach.

Nie wiedzieli, że mieszkają na liściach.

Dla nich to były domy, place, podwórza, drogi, stoły, warsztaty, granice, małe światy z własnym porządkiem. Każdy miał swój liść albo przynajmniej kawałek liścia, na którym rozkładał to, co uważał za konieczne.

Koc.
Miskę.
Nóż.
Kubek.
Kilka wspomnień.
Dwie obietnice.
Trochę lęku.
Trochę dumy.
Coś do jedzenia.
Coś do pokazania innym.
Coś, czego nie wolno było dotknąć.
Coś, co od dawna nie było potrzebne, ale nie dało się tego wyrzucić.

Niektórzy mieli liście szerokie i wygodne. Mogli na nich usiąść, położyć się, rozpalić małe światło, rozłożyć narzędzia, poukładać swój majdan w sposób, który sprawiał wrażenie stałości.

Inni mieszkali na liściach wąskich, drżących od każdego poruszenia powietrza. Musieli trzymać rzeczy blisko siebie, bo wszystko łatwo mogło się zsunąć. Każdy podmuch był dla nich wydarzeniem. Każda kropla deszczu — niepewnością. Każdy cień — możliwym zagrożeniem.

Ale wszyscy, niezależnie od wielkości liścia, żyli podobnie.

Trzymali się.

Ktoś trzymał się łodygi.
Ktoś przywarł policzkiem do nerwu liścia.
Ktoś kurczowo obejmował źdźbło trawy.
Ktoś owinął wokół niego całe ciało, jakby obejmował kolumnę świata.

Najbardziej przejmujący był człowiek, który trzymał się cienkiego źdźbła.

Był nagi.

Nie w sposób zawstydzający.

Raczej w sposób prawdziwy.

Nie miał już na sobie ubrań roli, opinii, godności, wykształcenia, majątku, religii, sukcesu, porażki ani dobrze brzmiącego zdania o sobie. W tej nagości było widać, że pod wszystkim człowiek jest istotą, która szuka czegoś, czego można się uchwycić.

Trzymał się więc źdźbła.

Źdźbło było cienkie.

Zbyt cienkie, żeby mogło być fundamentem.

Zbyt kruche, żeby naprawdę utrzymać czyjeś życie.

Wystarczyłby większy wiatr, nieuważny krok zwierzęcia, kropla wody, ruch ziemi — i źdźbło mogłoby się pochylić, złamać albo wyrwać.

Ale człowiek trzymał je tak, jakby trzymał własny los.

Nie dlatego, że był głupi.

Nie dlatego, że nie widział kruchości.

On właśnie dlatego trzymał mocno, że ją czuł.

Gdy ktoś zapytałby go, dlaczego nie puści, odpowiedziałby może:

bo wtedy nie będę miał nic.

A „nic” było dla niego bardziej przerażające niż kruche „coś”.

Inni patrzyli na niego i czasem się uśmiechali.

Bo przecież ich liście były większe. Ich łodygi grubsze. Ich majdan lepiej rozłożony. Mieli więcej naczyń, więcej tkanin, więcej narzędzi, więcej małych zabezpieczeń. Niektórzy zbudowali na liściach całe systemy.

Tu się śpi.
Tu się pracuje.
Tu się je.
Tu się trzyma rzeczy ważne.
Tu nie wolno wchodzić.
Tu zapraszamy gości.
Tu odkłada się smutek.
Tu pokazuje się dumę.
Tu leży to, co nazywamy miłością.
Tu to, co nazywamy charakterem.
Tu to, co nazywamy marzeniem.

Z czasem ludzie zaczęli porównywać liście.

Ten ma lepsze położenie.
Ten ma więcej światła.
Ten jest bardziej miękki.
Ten bardziej stabilny.
Ten jest blisko innych.
Ten osobno.
Ten wygląda dostojnie.
Ten byle jak.
Ten ma piękny brzeg.
Ten ma dziury.

Niektórzy byli dumni ze swoich liści.

Mówili:

to moje miejsce.

Tu mnie znają.
Tu wiem, gdzie co leży.
Tu mam swoje sprawy.
Tu jest mój porządek.
Tu nie zgubię się w świecie.

I może mieli rację.

Człowiek potrzebuje miejsca.

Potrzebuje kawałka powierzchni, na której może położyć rękę i powiedzieć: tutaj. Potrzebuje naczynia, kubka, zapachu, znanego kształtu, codziennego rytuału, małego obszaru, gdzie życie nie jest od razu ogromem.

Bez liścia człowiek mógłby przestraszyć się świata.

Bo świat był wielki.

Tak wielki, że nikt z ludzi na liściach nie obejmował go spojrzeniem.

Za nimi rosły masywne drzewa.

Nie jedno.

Całe ich szeregi.

Pnie szerokie, spokojne, ciemne, wchodzące w ziemię tak głęboko, że nikt nie znał końca ich korzeni. Korony trzymały światło, wiatr, ptaki i deszcz. Drzewa były tak obecne, że nie musiały niczego udowadniać. Stały. Milczały. Żyły w innym czasie niż ludzie na liściach.

Dalej był horyzont.

Linia, która nie kończyła świata, tylko pokazywała, że wzrok może iść dalej, niż ręka potrafi sięgnąć.

A nad wszystkim było niebo.

Ogromne.

Nie do posiadania.

Nie do uporządkowania.

Nie do wzięcia ze sobą na liść.

Niebo nie mieściło się w żadnym majdaniku. Nie dało się go przykryć kocem, opisać na tabliczce, nazwać swoim. Było. Czasem jasne. Czasem ciężkie od chmur. Czasem puste. Czasem pełne ptaków. Czasem tak wysokie, że człowiek mógłby się rozpłakać, gdyby spojrzał zbyt długo.

Ale ludzie rzadko patrzyli w górę.

Nie dlatego, że niebo było ukryte.

Było nad nimi cały czas.

Rzadko patrzyli, bo ich ręce były zajęte.

Trzymali się.

Jedli.

Dłubali.

Przekładali rzeczy.

Poprawiali ułożenie koca.

Przestawiali kubek.

Pilnowali, żeby coś nie spadło z liścia.

Sprawdzali, czy sąsiedzi nie mają lepiej.

Rozmawiali o tym, jak utrzymać porządek na powierzchni, która od samego początku nie była stała.

W ich świecie teraźniejszość była bardzo blisko.

Tak blisko, że zasłaniała wszystko inne.

Głód był blisko.

Lęk był blisko.

Źdźbło w dłoni było blisko.

Cudzy liść był blisko.

Własny majdan był blisko.

Ból kolana, chłód skóry, potrzeba jedzenia, drobna uraza, mały sukces, następna rzecz do poprawienia — wszystko to było tak namacalne, że drzewa wydawały się prawie nierzeczywiste.

A przecież drzewa były bardziej rzeczywiste niż ich małe porządki.

To była największa dziwność tego świata.

Ludzie żyli wśród ogromu, ale mieszkali w zasięgu własnego uchwytu.

Niektórzy budzili się rano i natychmiast sprawdzali źdźbło.

Czy nadal jest.

Czy nie pękło.

Czy ktoś go nie naruszył.

Czy można jeszcze na nim oprzeć rękę.

Potem sprawdzali rzeczy.

Czy miska nie przesunęła się w nocy.
Czy jedzenie jest tam, gdzie było.
Czy koc nie zmókł.
Czy ktoś nie zabrał narzędzia.

Czy liść nie pożółkł na brzegu.
Czy da się przeżyć kolejny dzień tak, jak poprzedni.

I tak mijały lata.

Na liściach rodziły się dzieci.

Dzieci najpierw patrzyły szerzej.

Taka jest ich natura.

Nie wiedziały jeszcze, że trzeba trzymać się źdźbła.

Patrzyły na niebo.

Na drzewa.

Na ruch chmur.

Na ptaki.

Na światło między gałęziami.

Czasem chciały zejść z liścia.

Czasem wyciągały rękę ku czemuś, czego dorosły nie widział.

Dorośli wtedy szybko je przyciągali.

Uważaj.

Nie wychylaj się.

Tu zostań.

Tu jest nasze.

Tam nie wiadomo.

Nie puszczaj.

Trzymaj się.

Dziecko uczyło się więc trzymania.

Najpierw dlatego, że dorośli się bali.

Potem dlatego, że samo zaczynało wierzyć, że świat poza liściem jest przede wszystkim spadaniem.

Z czasem dziecko przestawało patrzeć na niebo.

Nie nagle.

Nikt mu tego oficjalnie nie zakazał.

Po prostu pojawiało się coraz więcej spraw bliższych.

Jedzenie.

Koc.

Czyjeś niezadowolenie.

Rzeczy do przeniesienia.

Czyjś strach.

Czyjś płacz.

Czyjaś potrzeba.

Czyjeś źdźbło, którego trzeba było pilnować.

A kiedy człowiek długo pilnuje cudzego źdźbła, własne niebo staje się dalekie.

Był wśród nich starzec, który przez całe życie prawie nie opuszczał swojego liścia.

Miał na nim wszystko.

Tak przynajmniej mówił.

Miał swoje miejsce do spania.
Swoje naczynia.
Swoje wspomnienia.
Swoją rację.
Swoje krzywdy.
Swoje lęki.
Swoje zdania, które powtarzał tak długo, że stały się dla niego ścianami.

Kiedy ktoś młodszy mówił, że chciałby zobaczyć drzewa, starzec odpowiadał:

drzewa zawsze tam były.

Nie ma po co patrzeć.

Lepiej pilnuj tego, co masz pod ręką.

Kiedy ktoś mówił o horyzoncie, starzec mówił:

horyzont nie nakarmi.

Kiedy ktoś mówił o niebie, starzec śmiał się:

od patrzenia w niebo można spaść z liścia.

I wielu ludzi mu wierzyło.

Bo miał doświadczenie.

A doświadczenie, nawet jeśli wyrosło z lęku, często brzmi jak mądrość.

Była też kobieta, która miała liść pięknie ułożony.

Wszystko na nim miało swoje miejsce.

Tkaniny były złożone.

Naczynia błyszczały.

Jedzenie leżało w małych porcjach.

Nawet cień na jej liściu wydawał się bardziej elegancki niż u innych.

Ludzie ją podziwiali.

Mówili:

zobaczcie, jak można żyć na liściu.

Z klasą.

Ze spokojem.

Z porządkiem.

Kobieta uśmiechała się.

Ale każdej nocy, gdy wiatr poruszał powierzchnią liścia, zrywała się z lękiem i sprawdzała, czy wszystko nadal wygląda tak samo.

Jej piękny porządek nie był odpoczynkiem.

Był wartą.

Był też mężczyzna, który zbudował na swoim liściu małe ogrodzenie.

Nie było z czego naprawdę budować, więc użył patyków, nitek, dawnych obietnic, cudzych pochwał i własnej nieufności. Ogrodzenie było kruche, ale dawało mu poczucie, że ma granicę.

Mówił:

u mnie jest bezpiecznie.

Ale nikt nie mógł wejść.

Nawet ciepło.

Nawet radość.

Nawet ktoś, kto przyszedł bez zamiaru zabrania czegokolwiek.

Mężczyzna nie odróżniał już gościa od zagrożenia.

Zbyt długo mieszkał przy własnym ogrodzeniu.

Byli też tacy, którzy stale przenosili swój majdan z liścia na liść.

Mówili:

tam będzie lepiej.

Tam więcej światła.

Tam mniej wiatru.

Tam bliżej innych.

Tam dalej od innych.

Tam liść będzie mocniejszy.

Tam wreszcie odpoczniemy.

Przenosili wszystko.

Miskę.

Koc.

Nóż.

Wspomnienia.

Lęk.

Niezdolność do siedzenia w ciszy.

Głód, który nie był głodem jedzenia.

I dziwili się, że na nowym liściu po pewnym czasie dzieje się to samo.

Bo można zmienić liść i nadal trzymać się źdźbła w ten sam sposób.

Nie każdy ruch jest podróżą.

Nie każde nowe miejsce jest nowym życiem.

Czasem człowiek przenosi tylko swój uchwyt.

Pewnego dnia przyszedł wiatr.

Nie pierwszy.

Ale inny.

Nie był jeszcze burzą.

Nie niszczył.

Nie wyrywał.

Tylko poruszył wszystkim tak, że ludzie musieli na chwilę przerwać to, co robili.

Liście zadrżały.

Źdźbła pochyliły się.

Naczynia przesunęły.

Ktoś krzyknął.

Ktoś przycisnął do siebie dziecko.

Ktoś położył się płasko na liściu.

Ktoś zaczął zbierać rzeczy, choć nic jeszcze nie spadało.

A człowiek, który trzymał się cienkiego źdźbła, zacisnął dłonie tak mocno, że aż zabolały go palce.

Wiatr przechodził dalej.

Nie pytał ludzi, czy są gotowi.

Nie interesowało go, czy liście są uporządkowane.

Nie znał ich małych granic.

Poruszał wszystkim jednakowo.

I wtedy stało się coś dziwnego.

Źdźbło, którego trzymał się nagi człowiek, pochyliło się tak mocno, że jego ciało musiało pójść za nim.

Przez chwilę myślał, że spada.

Serce skoczyło mu do gardła.

Chciał krzyknąć.

Ale zamiast spaść, znalazł się w pozycji, w której pierwszy raz od wielu lat nie patrzył na własny liść.

Patrzył dalej.

Najpierw zobaczył pień drzewa.

Był ogromny.

Tak ogromny, że człowiek poczuł wstyd, jakby przez całe życie kłócił się o skorupkę, siedząc u stóp czegoś, czego nie zauważał.

Potem zobaczył więcej pni.

Potem korony.

Potem przestrzeń między nimi.

Potem horyzont.

A potem niebo.

Niebo nie zrobiło nic.

Nie zawołało go.

Nie pocieszyło.

Nie powiedziało: widzisz, głupcze, to wszystko było nad tobą.

Po prostu było.

I właśnie to było najbardziej poruszające.

Bo człowiek zrozumiał, że większy świat nie czekał z oskarżeniem.

On czekał bez czekania.

Był obecny przez cały czas.

To człowiek nie miał wolnej głowy, żeby go zobaczyć.

Nie mógł od razu puścić źdźbła.

To byłoby za dużo.

Ręce nadal trzymały.

Ale uścisk trochę osłabł.

Tylko trochę.

A to wystarczyło, żeby poczuł, że źdźbło nie jest całym światem.

To było pierwsze odkrycie.

Nie wielkie.

Nie wyzwalające natychmiast.

Bardzo proste.

Źdźbło nie jest całym światem.

Człowiek zaczął patrzeć na innych.

Na ludzi rozłożonych na liściach.

Na ich majdan.

Na ich zmartwienia.

Na to, jak bardzo byli zajęci rzeczami, które z bliska wydawały się ogromne, a z odrobinę większej perspektywy były małe, kruche, ludzkie, wzruszające.

Nie poczuł pogardy.

To było drugie odkrycie.

Bo łatwo byłoby spojrzeć na ludzi z góry i powiedzieć:

jak oni żyją?

Jak mogą nie widzieć drzew?

Jak mogą kłócić się o miejsce na liściu, kiedy nad nimi jest niebo?

Ale człowiek poczuł coś innego.

Czułość.

Bo sam przed chwilą był taki sam.

Sam trzymał się źdźbła, jakby od niego zależało wszystko.

I może zależało.

W pewnym czasie.

W pewnym stanie.

Dla nagiego człowieka nawet źdźbło bywa ratunkiem.

Nie wolno się z tego śmiać.

Nie wolno zbyt szybko mówić: puść.

Człowiek puszcza dopiero wtedy, gdy zobaczy, że pod puszczeniem nie ma tylko spadania.

Jest też przestrzeń.

Wiatr ucichł.

Ludzie wrócili do swoich spraw.

Ktoś poprawiał koc.

Ktoś zbierał rozsypane jedzenie.

Ktoś złościł się, że liść się przesunął.

Ktoś opowiadał, jak bardzo się przestraszył.

Ktoś mówił, że trzeba lepiej wiązać rzeczy.

Ktoś wzmacniał swój uchwyt.

A nagi człowiek nadal siedział przy źdźble.

Z pozoru nic się nie zmieniło.

Miał ten sam liść.

Ten sam majdan.

Te same dłonie.

To samo ciało wystawione na świat.

Ale w nim coś już nie było takie samo.

Bo raz zobaczone niebo nie daje się całkiem zapomnieć.

Można wrócić do rzeczy.

Trzeba wrócić.

Człowiek musi jeść.

Musi mieć gdzie położyć głowę.

Musi pilnować dziecka.

Musi naprawić miskę.

Musi znać swój kawałek świata.

Nie da się żyć samym horyzontem.

Ale nie da się już też udawać, że horyzont nie istnieje.

Od tamtego dnia człowiek zaczął czasem podnosić głowę.

Nie na długo.

Na początku tylko na chwilę.

Bo gdy patrzył zbyt długo, robiło mu się nieswojo. Jego majdan wydawał się wtedy mniejszy, a ręce bardziej zmęczone. Widział, ile lat trzymał się rzeczy, które nie mogły go naprawdę utrzymać. Widział, jak wiele

nazwał domem tylko dlatego, że bał się przestrzeni. Widział, jak wiele razy powiedział „moje”, choć chodziło jedynie o „znane”.

To bolało.

Dlatego niebo nie jest zawsze pociechą.

Czasem większy świat najpierw odbiera człowiekowi złudzenie, że jego mały uchwyt był całym życiem.

Ale z czasem zaczęło przychodzić coś jeszcze.

Nie radość natychmiastowa.

Raczej oddech.

Człowiek zauważył, że może trzymać się źdźbła i jednocześnie wiedzieć, że istnieją drzewa.

Może mieć liść, ale nie oddawać mu całej duszy.

Może rozłożyć misę, koc, narzędzia, wspomnienia, ale nie mylić majdanu z życiem.

Może troszczyć się o małe rzeczy, nie stając się ich więźniem.

To było trzecie odkrycie.

Nie trzeba pogardzać liściem, żeby zobaczyć niebo.

Nie trzeba porzucić wszystkiego, co bliskie, żeby przestać być zamkniętym w tym, co bliskie.

Trzeba tylko wiedzieć, że bliskość nie jest całością.

Człowiek zaczął patrzeć inaczej na własne rzeczy.

Kubek był nadal kubkiem.

Nie musiał stać się symbolem.
Nie musiał zostać wyrzucony.
Nie musiał być dowodem niewoli.

Ale nie był już centrum świata.

Koc mógł ogrzać.

Nie musiał być granicą.

Źdźbło mogło pomóc utrzymać równowagę.

Nie musiało być jedynym sensem.

To bardzo zmieniło jego stosunek do innych ludzi.

Gdy widział kobietę, która całe życie układała swój liść, nie mówił: ona jest powierzchowna.

Myślał:

może kiedyś wszystko jej spadało.

Gdy widział mężczyznę z ogrodzeniem, nie mówił: on jest zimny.

Myślał:

może kiedyś każdy, kto wchodził, coś zabierał.

Gdy widział starca, który śmiał się z nieba, nie mówił: on jest głupi.

Myślał:

może tyle razy bał się spadania, że musiał nazwać horyzont niepotrzebnym.

Gdy widział ludzi przenoszących majdan na kolejny liść, nie mówił: uciekają.

Myślał:

może szukają miejsca, w którym wreszcie nie będą musieli tak mocno się trzymać.

Zobaczenie nieba nie uczyniło go lepszym.

Uczyniło go delikatniejszym wobec ludzkiego trzymania się.

A jednocześnie mniej podatnym na złudzenie, że liść jest całym światem.

To była trudna równowaga.

Bo są ludzie, którzy gdy zobaczą niebo, zaczynają gardzić liśćmi.

Mówią innym:

puśćcie.

Wstańcie.

Popatrzcie wyżej.

To wszystko, czym się zajmujecie, jest małe.

Ale takie słowa potrafią zranić.

Bo człowiek nie żyje od razu w wielkiej przestrzeni.

Człowiek dojrzewa do niej przez własny uchwyt.

Jeśli ktoś za wcześnie zabierze mu źdźbło, może nie otworzyć mu świata.

Może go tylko strącić w panikę.

Dlatego nagi człowiek niczego innym nie kazał.

Czasem tylko, gdy ktoś siedział obok i narzekał, że jego liść jest wszystkim, pytał:

a czy patrzyłeś dziś na drzewa?

Niektórzy złościli się.

Mówili:

nie mam czasu na drzewa.

Mam tu życie.

Inni śmiali się.

Inni wzruszali ramionami.

Ale czasem ktoś podnosił głowę.

Tylko na sekundę.

I to wystarczało, żeby w jego oczach pojawiło się coś dziwnego.

Lęk.

Zachwyt.

Wstyd.

Ulga.

Żal.

Jakby zobaczył, że od dawna żył pod czymś ogromnym, ale wszystkie dni spędzał z twarzą przy własnym majdanie.

Niektórzy po takim spojrzeniu natychmiast wracali do rzeczy.

Jeszcze mocniej przywiązywali koc.

Jeszcze szybciej jedli.

Jeszcze bardziej zajmowali ręce.

Bo większy świat bywa zbyt bliski, gdy nagle się go zobaczy.

Inni zaczynali zostawiać na liściu trochę wolnego miejsca.

To było najpierw prawie niezauważalne.

Nie brali już wszędzie wszystkiego.

Nie musieli każdej rzeczy mieć pod ręką.

Nie odpowiadali na każde poruszenie sąsiada.

Nie poprawiali koca dziesięć razy.

Nie trzymali źdźbła przez cały dzień.

Czasem pozwalali dłoni leżeć obok.

I wtedy okazywało się, że nie spadają.

To było ważne.

Człowiek musi wiele razy doświadczyć, że nie spada, zanim uwierzy, że nie każda wolna dłoń oznacza utratę świata.

Z czasem niektórzy zaczęli chodzić między liśćmi.

Nie daleko.

Nie od razu do drzew.

Najpierw tylko do sąsiada.

Ale inaczej niż wcześniej.

Nie po to, żeby porównać majdan.

Nie po to, żeby zabrać coś z jego liścia.

Nie po to, żeby powiedzieć, jak powinien żyć.

Po prostu żeby usiąść i przez chwilę nie pilnować własnego źdźbła.

Tak rodziła się obecność.

Bardzo skromna.

Bez wielkich słów.

Dwóch nagich ludzi siedziało na liściu i patrzyło w tę samą stronę.

Nie musieli od razu wiedzieć, co z tym zrobić.

Może właśnie wtedy świat stawał się mniej ciasny.

Nie dlatego, że liść się powiększył.

Dlatego, że spojrzenie przestało mieszkać wyłącznie przy ręce.

Po wielu latach człowiek, który kiedyś kurczowo trzymał się źdźbła, był już stary.

Nadal mieszkał blisko liści.

Nie został wielkim wędrowcem pośród drzew.

Nie porzucił całego majdanu.

Nie udawał, że da się żyć bez miski, koca, rytuałów, małych porządków, miejsc, do których można wrócić.

Ale jego dłonie były inne.

Nie zaciskały się tak od razu.

Kiedy przychodził wiatr, nadal czuł lęk.

Tylko że lęk nie zamykał mu całego wzroku.

Patrzył wtedy na źdźbło.

Potem na drzewa.

Potem na horyzont.

Potem na niebo.

I mówił czasem do młodszych:

trzymajcie się, jeśli musicie.

Nie ma w tym wstydu.

Każdy nagi człowiek potrzebuje czegoś, czego może się uchwycić.

Ale pamiętajcie, żeby od czasu do czasu sprawdzić, czy to, czego się trzymacie, naprawdę jest życiem, czy tylko najbliższą rzeczą pod ręką.

Niektórzy go słuchali.

Inni nie.

Tak musi być.

Niebo nie zmusza.

Drzewa nie przekonują.

Horyzont nie robi wykładów.

Wielki świat jest cierpliwy, bo nie musi wygrywać z małym.

To mały świat boi się, że jeśli człowiek podniesie głowę, wszystko się skończy.

A często dopiero wtedy coś się zaczyna.

Człowiek może wrócić do liścia.

Może jeść.

Może dłubać.

Może naprawiać.

Może mieć swoje rzeczy.

Może kochać to, co bliskie.

Ale już nie musi mylić bliskości z całością.

Nie musi mylić uchwytu z fundamentem.

Nie musi mylić majdanu z domem.

Nie musi mylić teraźniejszości z całym życiem.

Bo teraźniejszość jest ważna.

Jest jedynym miejscem, gdzie można dotknąć świata.

Ale jeśli człowiek zamknie ją tylko do tego, co ma pod dłonią, teraźniejszość staje się klatką.

A jeśli pozwoli jej otworzyć się ku horyzontowi, staje się progiem.

I może właśnie po to czasem przychodzi wiatr.

Nie żeby zabrać człowiekowi źdźbło.

Nie żeby wyśmiać jego małe rzeczy.

Nie żeby strącić go z liścia.

Tylko żeby poruszyć tym, czego trzymał się zbyt kurczowo, i przez chwilę ustawić jego ciało tak, by zobaczył drzewa.

Horyzont.

Niebo.

I własne dłonie.

Zmęczone trzymaniem świata, który nigdy nie był całym światem.